

# W Gdańsku same szczęśliwe przypadki

Pomysł na króciutkie spotkanie warsztatowe polskojęzycznych dzieci o karaïmskich korzeniach zrodził się w końcu kwietnia, kiedy we Wrocławiu drzewa i klomby odzyskały swoją urodę, a w Trójmieście znów można było wędrować godzinami po plażach. Od początku przyroda Gdańska-Oruni oraz Gdyni-Orłowa, a także zabawa na świeżym powietrzu miały stanowić ważny element programowy. Z pomocą przyszedł nam kalendarz – pierwszy września wypadł w piątek, toteż dopiero na czwartego zaplanowane było uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego. Mieliśmy więc do dyspozycji całą sobotę drugiego i pierwszą połowę niedzieli trzeciego września oraz pewność, że wszyscy do tego czasu zdążą powrócić z dalekich wojaży do Polski i dokonać niezbędnych dla dalszej edukacji przygotowań. Parę pytań, energicznych kiwnięć głową, miłych telefonów – i już Mariola Abkowicz zaczęła starania o dofinansowanie, a ja konsultacje u Niny Firkowicz oraz spacer po dobrze mi się kojarzących instytucjach.

Nie wyobrażałam sobie, jak okropnie deszczowe czeka nas w Trójmieście lato. W lipcu i w sierpniu spod ociekającego parasola co rusz zerkałam na prognozę pogody na początek września – za każdym razem była inna... W przeddzień spotkania lało tak, że strach było wyjść z domu, a wycie wiatru za oknami przekazywało mi wiadomość o sztormie na Bałtyku. Przeliczając w myślach uczestników, też czułam pewien dyskomfort – nie na darmo jestem córką wilnianki i żoną wierzącego w magię liczb matematyka. Siedem dziewczynek dodać sześciu chłopców daje wynik – no, sami wiecie. I wtedy zadzwonił telefon z Wrocławia. Mariola rozmawiała z jednym autorów czerwcowego „Awazymyz”, doktorem socjologii z Gdańska, i okazało się, że ma on chętnego do działań kreatywnych syna Stefana w wieku lat siedmiu. Tak jak siedmiu chłopców i siedem dziewczynek! Zapraszamy? Zaprośiliśmy – i instruktorzy warsztatów potwierdzają, że to była doskonała decyzja (może za wyjątkiem pani, na której zajęcia taneczne obecnie chodzi Stefan, bo on domaga się włączenia do programu nieznanymi jej tańców karaïmskich).

Gdy w sobotę rano z Niną Firkowicz i Szymonem Firkowiczem wchodziliśmy do Parku Oruńskiego, mewy lądowały na gładkiej powierzchni stawu, alejki cieszyły suchym piaskiem, kwiaty przężyły się dumnie wśród świeżo wymytej trawy, a słońce złożyło orientalną altankę. Na dwie godziny zajęliśmy z dziećmi piętro ledwo widocznego zza lipowej alei budynku Sceny Muzycznej

Gdańskiego Archipelagu Kultury. Po krótkiej integracyjnej animacji i polsko-karaïmskich słowach powitania na parkiet weszła Nina ze starannie przygotowanym programem zajęć tanecznych. Zaczęła od roztańczonej rozgrzewki, stopniowo nasycając działania elementami karaïmskimi. Partnerował jej Szymon, tak jak przez pierwsze lata istnienia zespołu „Dostlar”. Kiedy mali tancerze opanowali już do perfekcji docelowy układ, usiedli obok nas na widowni, by napić się wody, odetchnąć i obejrzeć taniec „Tym-tym” w wykonaniu Niny w karaïmskim stroju. Ze zdwojoną ochotą chwilę później zatańczyli wspólnie z instruktorami, a rodzice i dziadkowie nie szczędzili braw.

Roześmiane dzieciaki z Gdańska, Krakowa, Oksfordu, Szczecina i Warszawy wypadły na przylegający do budynku czwórdzielny plac zabaw połączony z siłownią pod chmurką, a opiekunowie integrowali się w cieniu Góry Pięciu Braci i w fotelach plenerowej kawiarenki, co chwilę odwiedzanej przez zziębniętych najmłodszych. Sprzedaż lodów tego dnia pobiła chyba rekordy roku, chociaż jeszcze w czwartek właściciele mówili, że w sobotę raczej nie otworzą – te deszcze i po sezonie, a ile ma być tych dzieci, trzynaścioro?

Po godzinie w innym już domu kultury rozpoczynały się warsztaty rzeźbienia w glinie. Zmotoryzowani rodzice poprzestawiali puste samochody, bo wszystkie dzieci wybrały dziesięciominutowy spacer po pięknie teraz zrewitalizowanej dzielnicy Orunia szlakiem klejnotów architektury neogotyckiej do dawnego dworu Schopenhauerów, w którym urodził się filozof Artur. Stanowiliśmy barwny orszak, pilnowany przez sympatyczne psy Aiszę i Amigo, ale wciąż mnie zaskakiwało, kto z kim idzie w parze – najmłodsza nie z mamą, a z nową ciocią, która właśnie uplotła jej wianek z polnych kwiatów; pogrążone w rozmowie dziewczynki, które cztery godziny wcześniej nie wiedziały o swoim istnieniu...

Od progu już witała nas Grażyna Kunicka, gdańska malarza i ceramiczka. Panią Kunicką oraz jej pracownię w Dworku Artura poznałam dwie dekady temu jako mama siedmiolatki, która nagle zaczęła znosić mi do domu zaskakująco dobre rzeźby. Potem jako koordynator unijnych projektów, rzucając tylko hasło, np. „Personifikacje gdańskich rzek”, prosiłam artystkę o prowadzenie warsztatów dla swoich nastoletnich uczniów, oni z kolei w ciągu jednych zajęć z kompletnych debiutantów przedstawiali się w autorów dojrzałych reliefów lub statuetek „Wisły



Śmiałej”, „Wisły Martwej” czy „Raduni”, prawdziwie dwulicowej rzeki – zrywającej mosty w swoim jarze na Kaszubach, leniwie toczącej się wzdłuż ulic Gdańska. Tym razem hasła były dwa: „Karaimska tancerka” oraz „Herb karaimski”. Dwie też artystki sprawowały opiekę artystyczną i technologiczną nad uczestnikami, bo pani Grażyna zaprosiła do współpracy rzeźbiarkę i ceramiczkę – panią Iwonę Jurkiewicz. Wszyscy przez dwie godziny pracowali w wielkim skupieniu – znowu zadziałała magia inspiracji i talentu tak charakterystyczna dla tej pracowni.

Kiedy młodzi rzeźbiarze zdjęli już ochronne fartuchy, Małgorzata Pilecka wręczyła im po egzemplarzu zaprojektowanej przez siebie interaktywnej książeczki pt. *Karaimskie spotkanie*. Zaraz w ruch poszły długopisy i ołówki, bo Stefan już nas opuścił, a jedna ze stron publikacji poświęcona była na podpisy uczestników. Dzieci nie bardzo chciały się rozstawać, ale zaakceptowały argument, że po piętnastu minutach jazdy samochodem znów się spotkają w tatarskiej restauracji Azima. A tam – ile się działo! Dzieci oraz rodzice mieli do dyspozycji własną salkę, gdzie można było uzupełniać książeczkę, głaskać Aiszę i Amigo, rozpakowywać płócienne torby z zestawem upominków od Miasta Gdańska, zjadać się przysmakami krymskiej kuchni i gadać, śmiać się do woli. Instruktorzy warsztatów, dziadkowie i przyjaciele zajęli drugą salę restauracji – łącznie w obu było nas prawie pięćdziesiąt osób. Ale kiedy zajrzałam do komnaty dzieci, niewiele ich tam zastałam – już wypoczęte biegały po okolicznych trawnikach według scenariusza wspólnie wymyślonej zabawy.

Na niedzielny poranek umówiliśmy się przy wejściu na molo w Gdyni-Orłowie. Jest krótsze niż sopockie, ale też ma długą historię i zachwyca pięknymi proporcjami. Oferuje urzekające widoki na klif orłowski i przycupnięty u jego stóp Domek Żeromskiego, w którym pisarz szkicował *Wiatr od morza*. Obok rozpościera się uroczy park zwany Promenadą Marysieńki. Mały placzyk z widokiem na klif i molo stał się sceną, na której Nina rozstawiła głośniki i przećwiczyła z dziećmi sobotnią choreografię tańca karaimskiego. Szymon zaprosił do męskiego układu młodych ojców, którzy po paru próbach znakomicie partnerowali pociechom w trakcie finałowego pokazu, rześście oklaskiwanego z ławek „widowni”.

Słońce też zachowało się bardzo przyzwoicie, na pomoc tancerzom weszło leciutki wiatr i kłębiaste obłoczki, więc dopiero po występie dzieci zaczęły szukać schronienia w cieniu drzew. Tam właśnie rozegrał się ostatni punkt programu artystycznego. Misza Kuliczenko rozdał tekst karaimskiej piosenki „Sahyszlar” i grając na gitarze, zaczął z dziećmi ćwiczyć śpiew. W finale dołączyły do niego trzy uzdolnione wokalnie panie: jego przyjaciółka Iza oraz reprezentujące opiekunów jedna babcia i jedna mama. Chór dorosłych ustawił się pod drzewem, na którego konary wspinały się – coraz wyżej – zapatrzone w kartkę i nucące dziewczynki. To były, według słów Miszy, „warsztaty wokalnie-akrobatyczne”.





A potem trzy pokolenia potomków trockich i halickich Karaimów, niektórzy ze współmałżonkami, zasiadły radośnie przy długim stole Pizzerii Orłowskiej w ogrodzie pełnym rzeźb. Dzieci wstały z krzesel wcześniej niż my, zwiedzały posesję, anektowały kolejne przestrzenie, zajęte swoim towarzystwem, przejęte pożegnaniem odjeżdżających. Co im zostanie? Zdjęcia, pamiątkowa książeczka do uzupełnienia, gliniane rzeźby, które już wypalone czekają na szkliwienie i wkrótce trafią do autorów. Może nawet coś więcej – słoneczne wspomnienia, ciekawość symboli i obyczajów, nadzieja na ponowny kontakt, karaïmskie gesty taneczne i ta trudna do nazwania tkliwość, jaka i nas czasami ogarniała wobec naszej „kompanii” czy podczas podobnych wielopokoleniowych spotkań.

Ostatni dzień wakacji naszych dzieci i wnuków był też pierwszym dniem niezwyklej przygody muzycznej naszych czysto słowiańskich przyjaciół. Traf chciał, że po sobotnim koncercie w Wielkopolsce Karolina Cicha oraz jej kongenialni koledzy z zespołu – Patrycja Betley, Karolina Matuszkiewicz i Mateusz Szmraj – mieli wolny wieczór w niedzielę. Mariola Abkowicz postanowiła uraczyć gdańszczan karaïmskimi dźwiękami. Pisząc projekt, szukała kameralnej sali na sto osób, więc zaproponowałam Oliwski Ratusz Kultury, stosunkowo nowe, ale prestiżowe miejsce vis-a-vis Parku Oliwskiego. Przytoczę wydarzenia, na których tam byłam w ostatnich miesiącach: występ

znanego choćby z filmu „Chłopi” ukraińskiego chóru „Vyrij”; dwujęzyczny recital „Francja elegancja” z towarzyszeniem tria jazzowego; rozdanie nagród w konkursie „Wiwat Szymborska”. Nic jednak nie przebijie emocji z trzeciego września.

Ponad setkę gości Mariola przywitała opowieścią o powstawaniu „Karaïmskiej Mapy Muzycznej”. Zespół od pierwszej chwili zaczarował widzów. Wtajemniczeni bywali już wcześniej na ich koncertach, ale zachwyciły nas nowe aranżacje, znów inne, ujmujące i trafne słowa wiążące piosenki w spójną całość. Przedstawiciele rodów gdańskich Firkowiczów, Szpakowskich, Pileckich i szczecińskich Abkowiczów z dumą powitali na scenie Miszę Kuliczenko. Po owacjach i bisach na proscenium wyszła z pięknym bukietem róż reprezentantka przyjaciół Żeni Firkowicz i powiedziała: „Żenia zawsze dzieliła się z nami kulturą karaïmską – a tu jakieś danie, a tu pewien zwyczaj czy jakaś opowieść. Ale to były takie kropelki. A teraz dostaliśmy cały dzban! I będziemy z niego pili”.

A moi przyjaciele, z którymi regularnie chadzam na koncerty? Tak uskrzydłych jeszcze ich nie widziałam! Mimo że puszczałam im czasem nagrania z „Mapy...”, nikt z nich nie spodziewał się aż takiego poziomu, aż takiego wzruszenia. Po tem do późnej nocy, chociaż niektórzy nazajutrz rozpoczynali rok szkolny, przysyła mi sms-y z informacją, którego utworu właśnie słuchają ze swoich nowych płyt. ■

*Hanna Pilecka  
Fotorelacja: Michał Abkowicz i Michał Łyszczarz*